Nr. 16. We Lwowie, Poniedziałek dnia 21. kwietnia. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Korsyki.

II.

Wśród wędrówki mej wzdłuż i wszersz całe: wyspy znalazłem się pewnego dnia w Vizzavona, gdzie kończy się oddany już do publicznego użytku tor kolejowy; musiałem dalszą mą podróż do Corte odbywać w odwiecznym dyliżansie. Vizzavona, mimo wielkiej ilości robotników i przedsiębiorców zajętych przy budowie linii kolejowej, nie posiada ani jednego hotelu, ani jednej restauracyi prócz zwykłej kantyny, w której szynkują absynt. Teraz dopiero miałem sposobność naocznego przekonania się o tradycyjnej gościnności wyspiarzy. W skromnej baracе inżyniera prowadzącego budowę toru kolejowego znalazłem jak najgościnniejsze przyjęcie. Wśród rozmowy z mym Amfitryonem dotknęliśmy także stosunków kolejowych i wiadomości, które wówczas doszły mych uszu, są w istocie wielce interesującemi. — Sam pan widzisz — mówił mój gospodarz, — jak nędznie tu żyjemy. Prócz kantyny, utrzymywanej przez Włoszkę, która tak samo zna się na kuchni, jak bandyta na budowie koleji, nie mamy żadnego innego lokalu restauracyjnego. I eż to razy podczas budowy czterokilometrowego tunelu między Bocognano a Vizzavona namawiałem traktyerników z Bastii, by pobudowali tu swe baraki. Tysiące zajętych przy budowie robotników potrzebowało dachu i posiłku. Mogliby na nich zarobić krocie. Wszystko na prożno. My Korsykanie pozbawieni jesteśmy przedsiębiorczości. Nie chcemy niczego uczynić celem poprawienia naszych materyalnych interesów. Fortuna może spaść na nas chyba we śnie, gdyż po przebudzeniu się mamy o czem innem do myślenia — tak mówił mój gospodarz, Korsykanin z krwi kości.

Że nie podobna było nazwać go przesadnym pessymistą — o tem świadczyła chyba najlepiej budowa linji kolejowej, trwająca już od lat dziesięciu. Linia ta nie jest jeszcze dotychczas wykończoną i połączenie Ajaccio — Bastia nie rychło jeszcze stanie się faktem dokonanym. I w sprawie kolejowej prywata odgrywała niepoślednią rolę. W skład komisyi szacującej grunta weszli obecnie członkowie stronnictwa rządowego, którzy naturalnem rzeczy porządkiem przyznawali swym stronnikom wynagrodzenie za grunt odstąpiony pod trasę w wysokości przewyższającej od pięciu do dwudziestu razy rzeczywistą wartość takowego. I wszystko byłoby się odbyło w największym porządku, gdyby wiadomość o tak niezwyczajnej hojności nie była się przedostała do Paryża. Władze centralne cenią sobie wprawdzie bardzo wysoko przychylność takich rodów jak Casabianca i innych, lecz muszą się liczyć z swymi kontrybuentami we Francyi, którzy wcale nie mają ochoty do napełniania kieszeń korsykańskich własnym sumptem. Acz nieco za późno, lecz położono w końcu tamę tym nadużyciom...

Prócz możnowładczych rodzin mieszają się tu do spraw kolejowych także — bandyci... Pewien bandyta oburzony na przedsiębiorstwo kolejowe, które nie powierzyło dostawy progów jego przyjaciołom — odmówił mu wszystkich robotników. Pod karą śmierci zabronił im pracować. Z resztą interwencya bandyty nie jest tu rzadkością. Częstokroć obejmuje on rolę swata, pośrednika między dłużnikami a niecierpliwym wierzycielem, przyczem nie zawsze interwencya jego jest bezinteresowną.

Jadąc dyliżansem wzdłuż wspomnionej już trasy kolejowej, zauważyłem wiele mostków i mostów na torze, pozbawionych wszelkiego podmurowania. Deszcze i burze zniszczą je do szczętu, zanim jeszcze pierwsza lokomotywa przemknie się po tych szynach. Co za dziwny sposób budowy? myślałem, zapominając o tem, że jestem na Korsyce, gdzie stronnictwo rządzące każdy dom buduje poczynając od dachu. Niedziw więc potem, że fatalna ta gospodarka wytwarza w naturalnym zupełnie rezultacie nędzę, nędzę otuloną w łachmany.

Łagodny klimat umożliwia egzystencyę ludności, zwłaszcza tej, która zwykła żyć z dnia na dzień i poprzestawać na kukurudzianym placku i na dzikich kasztanach i figach. Lada łachman służy tym biedakom za odzienie i dlatego też nie kwapią się wcale do pracy. Nawet roboty w polu wykonują wyrobnicy sprowadzani z Włoch. Komu środki na to pozwalają, ten sposobi się do karyery urzędniczej — reszta zaś wegetuje raczej, niż żyje. Gdy jest kilku synów w domu, wówczas najstarszy, albo też najzdolniejszy bywa przeznaczany na urzędnika, profesora, lub oficera — celem podtrzymania honoru rodowego nazwiska. Ponieważ na wyspie niedość jest miejsca dla wszystkich szukających podobnej karyery, przeto znaczna część tych młodych ludzi udaje się corocznie do Francyi. Natomiast biada Francuzowi, któryby tu się odważył szukać posady, lub jakiegokolwiek zajęcia!... Co najdziwniejsza jednak, to metamorfoza, jaką przechodzi każdy Korsykanin, szukający szczęścia po za obrębem swej wyspy. On, taki dymny szczery i bezinteresowny, staje się niezwykle elastycznym, chytrym, chciwym zysków. Potomkowie tych samych ojców, których w starym Rzymie uważano jako najbardziej krnąbrnych niewolników, są dziś najsprytniejszymi policystami drugiej republiki. Korsykanin we Francyi jest niezwykle giętkim pod względem charakteru

nadskakującym aż do uprzykrzenia. Zaledwo jednak powróci do ojczyzny, odrzuca wszelkie naleciałości obce, staje się tym samym, czem był poprzednio.

Już z tej pobieżnej charakterystyki wynika, że Korsykanie odznaczają się niezwykłą intelligencyą. Każdy wieśniak włada tu przynajmniej dwoma językami, celuje bystrością obserwacyi, trafnym sądem. Wszyscy synowie zamożnych rodzin odbierają wyższe wykształcenie, które niejednokrotnie pozostaje w rażącym kontraście z barbarzyństwem i z ciemnotą ogółu. Na wyspie znajduje się przerażająco wielka liczba ludzi posiadających stopnie uniwersyteckie i nauczycielek patentowanych — bez zajęcia. Mówiłem, o tym fakcie z pewnym bardzo wykształconym człowiekiem w Bastii. Odparł mi na moje wywody: Masz pan najzupełniejszą słuszność. Znam aż nadto dobrze błędy mych ziomków. Jesteśmy zbyt ambitnymi, więcej badaczami i myślicielami, niż ludźmi czynu...

Badaczami i myślicielami! — to wyrażenie jest wielce trafne. Nie należy wszakże sądzić, by Korsykanin był marzycielem. Przeciwnie, jest realistą do szpiku kości, brutalnym w swych postępkach, zupełnie nie przystępnym dla wpływów sztuk pięknych. Korsykanin może być uczonym, poetą, adwokatem, mężem stanu, wodzem — lecz nie będzie nigdy twórczym artystą. Brak mu potemu uczucia. Ani Sampierro, ani Paoli, ani też Napoleon, nie byli ludźmi serca. Sampierro, ów legendowy bohater Korsyki, zamordował własną żonę, ponieważ szukała pomocy i schronienia u znienawidzonych na wyspie Genueńczyków. I jakkolwiek na pierwszy rzut oka mógł czytelnika wprawić w zdumienie fakt, że Korsykanin może być poetą, to należy bezzwłocznie dodać, że poezya jego jest wyłącznie epiczną, sławiącą bohaterskie czyny przodków, zagrzewającą do zemsty. Pieśni miłości nie szukaj na Korsyce. Od czasu do czasu zdarzają się tu wprawdzie wypadki wykradania panny celem przełamania oporu rodziców, ale główną rolę w tego rodzaju awanturach odegrywają względy arcyprozaiczne — pieniężne...

Jedno jest tylko uczucie idealizujące posępny charakter Korsykanina. Jest niem uczucie miłości rodzinnej. Znamionuje ono charakter człowieka, niezbyt jeszcze oddalonego od stanu natury, przywykłego do stosunków patryarchalnych, dla którego nie istnieje żaden inny związek społeczny, prócz rodziny.

Korsykanka, rozpaczająca nad zwłokami męża, woła wsród łez: O mój bracie, dlaczego tak wcześnie mię rzuciłeś! Śmierć męża przecięła w jej sercu wątek małżeńskiego przywiązania. Czuje w swej rozpaczy tylko, co jest dla niej najświętszem — miłość rodzinną!

„POD CZARNĄ KULĄ".

NOWELKA

Ludwika Halévy.

(Dokończenie).

Moja kampania w Antwerpii była trochę trudniejszą. Zawołano mnie do prefektury, mówiąc: „Skocz-no do Antwerpii i zobacz, co się tam dzieje." Prosiłem, by mi pozostawiono wybór dnia wyjazdu i dano zupełną swobodę działania. Otrzymałem pozwolenie, oraz obietnicę, że nie będą szykanować przy likwidacyi kosztów. Wysłano do Antwerpii pięć, czy sześć, osób. Puściłem ich naprzód, a sam wyruszyłem dopiero 22 lutego. Pielgrzymka do Antwerpii była wówczas w pełnym biegu. Przybyłem zawczasu na kolej północną. Przypatrywałem się powoli przybywającym. Mówiłem sobie: „Pociąg wyjeżdża o 7-mej rano i o 3-ciej będzie w Antwerpii. Idzie o to, by wybrać dobre *coupé*, zawiązać rozmowę z towarzyszami podróży i przygotować sobie stosunki w Antwerpii. Mam na to ośm godzin czasu: to wystarczy."

Byłem, jak łatwo pojmiesz, ubrany bardzo starannie, elegancko, ciemno, poważnie. Wziąłem z sobą w charakterze lokaja, Versaca, tego... wiesz... co mnie spotkał w Tours. Jesteśmy teraz w wielkiej przyjaźni, zawsze idziemy razem. To zdolny chłopak, ale lubi role podrzędne, niepołączone z odpowiedzialnością. Opłaciła się zresztą ta jego podróż... W drodze zapoznał się z prześliczną garderobianą jednej z pań legitymistek i dowiedział się o niej masę o najprzedniejszych domach na przedmieściu St. Germain. Versac jest zresztą bardzo przystojny, umie się podobać; odszukał więc swoją garderobianę w Paryżu i oto mamy wyborne źródło informacji.

Na dworcu spostrzegłem starego jegomości z kobietą, mającą około lat trzydziestu, nie ładną, ale za to bardzo miłą. Wiesz, że w tych rzeczach ma się jakby przeczucie... Patrzę na nich i powiadam: „to moi ludzie" Siadam do jednego z nimi coupé. Niepomyliłem się. Jadę złożyć mój hołd królowi... bo pojmujesz, w wagonie nie można już było zdradzać się i mówić: hr. Chambord, lecz poprostu: król... Na stacji Luzarches wymieniliśmy nasze nazwiska i tytuły. Stary jegomość nazywał się: margrabia de Boustasson i ja przybrałem nazwisko: barona de Martonne de Lustrac. Jeśli mam w zapasie historyjkę bonapartystowską, to nie brak mi także historyjki legitymistowskiej; wiąże się ona z dwoma nazwiskami wygasłych rodzin... W Creil dowiedziałem się o nazwisku damy. Była ona córką starego margrabiego, a wdową po hr. de la Ribellière; między Creil a Compiegne stary margrabia opowiedział mi swoją historję, między Compiegne a Tergnier opowiedziałem mu moją. Byłem Francuzem z kolonii który podczas wojny przybył z ochotnikami z Montevideo itd. W Tergnier jedliśmy śniadanie przy jednym stole: margrabia, hrabina i ja... W Antwerpii stanęliśmy w jednym hotelu, a wieczorem Versac zaniósł do p. Blacas w hotelu St. Antoine nasze prośby o posłuchanie. Margrabia w swem liście wspomniał o mnie, ja nawzajem w moim o margrabi. Stanowiliśmy jedność. Nie byłem już sam, miałem protektora i to jakiego jeszcze protektora! margrabiego o kędzierzawych siwych włosach, o postaci majestatycznej, czcigodnej... wiesz bez przesady... to co było najlepszego w całym pociągu.

Nazajutrz mielismy wszyscy troje posłuchanie w hotelu St. Antonine, w serji 20 do 25 osób. Odbywało się to, jak w Chislehurst: grupami. Gdy król wszedł, wszystkich opanowało wielkie wzruszenie. Zwłaszcza stary margrabia

był niesłychanie przejęty. Padł na kolana... zaledwie zdołano go podnieść. Chciał ucałować rękę króla, zaczął mówić od rzeczy, twierdził, że może umrzeć spokojnie, skoro ujrzał oblicze swego króla itd... Odwieźliśmy go do hotelu i położyliśmy do łóżka. Hrabina i ja spędziliśmy cały wieczór przy chorym. Kilkanaście osób z naszej serji przybyło odwidzić margrabiego. Nazajutrz oddawaliśmy wizyty. Siedziałem w Antwerpii aż do wyjazdu króla i poznałem bardzo wiele osób. Powróciłem z raportem i zapiskami, które przyniosły mi prawdziwy zaszczyt.

I gdybym był samochwalcą, mógłbym dodać, że hrabina miała taki dziwny sposób opierania się na mem ramieniu podczas zwidzania muzeów w Antwerpii i tak na mnie czule spoglądała... Kto wie mógłbym się wówczas świetnie ożenić.

* * *

— Panie Marcou... Przyszedł już i ta kobieta wprowadzi go niebawem do ogrodu...

Na te słowa wyrzeczone przez jednego z agentów, Dubrisart i Marcou wstali z ławeczki, zbliżając się do drzwi sali. Spostrzegli niebawem Aglaę Ripon, opartą na ramieniu człowieka o rudych włosach, w popielatym paletocie i miękkim kapelnszu. Nówił on wiele i zdawał się bardzo ożywionym. Kobieta słuchała go z roztargnieniem. Krok jej był niepewny... wzrok błędny. Zapewne piła dużo wina, bo ustawicznie odrzucała róże kapelusza, spadające jej na czoło. Agenci szli za nimi w pewnem oddaleniu.

— Poznajesz go? - rzekł Marcou do Dubrisarta.

— Nie, miał brodę, był brunetem. Widzę teraz człowieka ogolonego i z rudemi włosami. Ale dowiemy się natychmiast. Mam sposób niezawodny...

Gdy kobteta zobaczyła drzwi ogrodowe, a po obu ich stronach Dubrisarta i Marcou, cofnęła się w tył, krzyknęła, chciała uciekać. Ale dwaj agenci rzucili się na nich obojga i wypchnęli gwałtownie na ogród. Marcou zamknął drzwi. W tej chwili skończyła się szósta figura kadryla, a pięćset głosów wrzeszczało zawzięcie: bis! bis!

— Puście kobietę! — rzekł Dubrisart — a jego dajcie tu, pod latarnię..- Tak, dobrze... A ty, kochanku, pokaż mi prawą rękę.., No, no, pokaż rękę, pokaż... A, oto ślady moich trzech zębów. To ja zrobiłem ci ten znak, wzamian za pchnięcie nożem... Nałóżcie mu kajdanki... To Stafner!...

* * *

O godzinie wpół do jedenastej, Dubrisart i Marcou przybyli do prefektury. Znajdował się tam jeden z naczelników: złożyli mu raport.

— Dobrze — rzekł — ty , Marcou, idź, ale Dubrisart niech chwilkę zostanie. Mam cię o coś zapytać. Miałem kilka raportów o przyjęciu w Antwerpii. W jednym z nich piszą, że niejaki baron Martonne de Lustrac przemawiał bardzo gwałtownie, odzywając się publicznie w sposób niesłychanie obelżywy o p. Thiersie. Czyś pan nie widział tego barona de Martonne de Lustrac?

— Owszem, widziałem go.

— Ale nie wspominasz pan wcale o nim w swoim raporcie. Dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny. To ja nim byłem.

— Domyślałem się tego. Oto, do czego prowadzi, gdy się chce szpiegować na własną rękę, każdy osobno, bez dyscypliny, bez karności. W każdym wierszu swego raportu wspominasz pan o hrabinie de la Riballière...

— Która się bardzo egzaltowała i której ojciec...

— Margrabia de Boutasson... Wiem, wiem... Zaczekaj pan chwilkę.

Naczelnik otworzył drzwi.

— Pani Robert, niech-no pani wejdzie!

I baron de Martonne de Lustrac ujrzał wchodzącą hrabinę de la Riballière, ubraną najprościej i najskromniej. Oboje: hrabina i baron spojrzeli na siebie wystraszeni, zmięszani.

— Oto, panie Dubrisart — pani Robert. Oto, pani Robert — pan Dubrisart. Przypatrzcie się sobie dobrze, proszę was — i na przyszłość bądźcie łaskawi, spotkawszy się nie szpiegować się nawzajem.

Dubrisart i pani Robert opuścili gabinet naczelnika i wychodząc z prefektury:

— Jedna rzecz mnie intryguje — rzekł Dubrisart — to ten stary. Miał taką minę arystokratyczną. Zkądeś go pani wyciągnęła?

— To mój ojciec — odrzekła pani Robert.— Był kiedyś aktorem. Celował w rolach ojców szlachetnych...

Z dziejów zdobyczy XIX. stulecia.

przez

Walentego Ćwika.

Przełamanie krępujących ludzkość, w jej ogólnej komunikacji, więzów przestrzeni i czasu, zbliżenie jednostek, złączenie zabiegów ich i dążności, zjednoczenie życia i myśli państw, ludów, wszystkich świata części, wytworzenie wspólności zamiarów wsród wszechobszarów globu — oto zasługa owej sieci żelaznej, osnuwającej dziś pod nazwą telegrafu, całą kulę ziemską. — Tam gdzie nie sięga żaden inny środek komunikacyjny, gdzie rzadko kiedy ludzka staje stopa — wśród niezmiernych Azyi przestrzeni, wnętrza Australii, wśród puszcz i śnieżnych stepów,—tam przynosi wieść drut telegraficzny, pośredniczy w sprawach narodów, w najżywotniejszych kwestyach ich bytu. Co więcej; w zakątkach nawet, dostępnych zaledwie wyobraźni ludzkiej drga życie tajemniczej siły przyrody, składa daninę na ołtarzu usług społeczeństwa. — We wnętrzu oceanów, gdzie brak już warunków dla życia zwierząt i roślin, gdzie żaden ruch, żadna fala nie mąci wiecznego spokoju, nie przerywa wiecznej martwoty, wiecznej nie rozdziera ciemni, tam spoczywają owe olbrzymie przewody podmorskie, roznoszące z błyskawiczną szybkością

myśl ludzką od lądu do lądu. — Tam, w głębi 5000 metrów nurzają się kable w namule i szczątkach zwierzęcych, nieuchwytne dla ramienia, dla oka ludzkiego. Gdzie sam nie zdołał dotrzeć, przesłał człowiek aparat, który pod względem śmiałości pomysłu i energii w wykonaniu nie miał przedtem — rzec można — równego sobie na świecie. — Imponującym jest rozwój sieci telegraficznej na stałym lądzie, lecz o wiele przewyższają dzieła te prace, podjęte przy zakładaniu podmorskich przewodów, prace, należące do pierwszorzędnych przedsięwzięć nowoczesnej cywilizacyi, prace, stanowiące niejako koronę światowej komunikacyi. Z chwilą wykonania dzieła zyskała myśl, idea uniwersalne znaczenie, cywilizacya dłoń pomocną, jakiej nie miała przedtem w żadnej epoce dziejów ludzkości.

Bieżący rok, to półwiekowy jubileusz śmiałego projektu, podniesionego (1840) przez skrzętnego badacza elektryczności prof. Karola Wheatstone, to też na czasie odświeżyć w pamięci zasługi dobrodziejów społeczeństwa, zaznajomić czytelników z owemi potężnemi zasobami intelektualnych i materjalnych sił, jakie musieli rozwinąć nieustraszeni przeciwnościami mężowie, zanim po mnogich trudach, znojach i przeszkodach zdołali zatknąć sztandar zwycięstwa na krańcach starego i nowego świ ta.—Ileż to potrzeba było prób i doświadczeń, ile naukowych badań i prac szczegółowych?

Projekt Wheatstona złączenia Anglii z Francyą nie został wprawdzie urzeczywistnionym, myśl znalazła atoli wykonawcę w osobie O'Shangessyego, szefa elektrycznego telegrafu Indyi, który położył pierwszy podwodny przewód przez Hugly, poboczną rzekę Gangesu. — W dwa lata później powtórzył próbę genialny elektrotechnik Samuel Morse w porcie nowo yorskim i objawił, jakkolwiek oba pierwsze experymenty zawiodły, stanowcze zdanie, iż przewód podwodny nietylko jest możebnym, lecz wykonalnym nawet na taką odległość, jaka dzieli Amerykę od Europy. — Twierdzenie powagi, jaką był Morse, musiało przenieść kwestyę na pole ściślejszych jeszcze prób i doświadczeń, wśród których odkryto wybornie izolujące własności guttaperchy, przywiezionej (1846) do Europy przez angielskiego lekarza dr. Montgomery. — Rezultatem mnogich experymentów, między innemi experymentów Ezra Cornella, W. Siemensa, Faradaya, Samuela C. Anmstronga i Walkiera, było złączenie przez I. Bretta (1850—1851), 32. km. długą podmorską linią miast Dover i Calais. Zachęcone wynikiem rządy Anglii i Francyi, przystąpiły teraz do budowy dalszych kablów, a podmorski telegraf zyskał tem samem stałą podstawę bytu.

Wszystkie dotychczasowe prace i rezultata były atoli dopiero wstępem, zwiastunem niejako owego olbrzymiego przedsięwzięcia, złączenia dwóch półkul świata.

Któż znów chwycił się energicznie tej zuchwałej myśli? Amerykanin Cyrus Field. On to porozumiał się z kompetentnemi osobistościami, między innymi z Morsem, przystąpił jeszcze raz do zbadania wykonalności projektu, zamówił w Anglii podwodny kabel i przeprowadził próbne połączenie Nowego-Yorku z wyspą Nową Funlandją. Gdy początkowe doświadczenia zawiodły, położono drugi przewód, a ten zanurzony w lipcu 1856 na dno oceanu, począł spełniać należycie swe zadanie. Najbliższem staraniem przedsięwzięcia było teraz dokładne zbadanie głębokości wód północno-atlantyckich. Londowanie wykazało, iż część oceanu między Irlandją a Nową Funlandją nadaje się wybornie do celów projektu, na całej bowiem 2100 km. długiej przestrzeni nie wykazuje nigdzie głębokości ponad 2.400 węzłów, jest przytem wolną od wszelkich podwodnych prądów. Jestto tak zwana wyżyna telegraficzna o jednolitej mniej więcej konfiguracji terenu. Od południowo-zachodniego wybrzeża Irlandji ciągnie się tylko około 900 m. szeroka i do 4.660 m. głęboka dolina wzdłuż zachodnich krańców Europy i Afryki.

Jakkolwiek ziszczenie projektu grubą jeszcze było okryte pomroką niepewności, zdołał przedsiębiorczy Field zawiązać akcyjną spółkę „Atlantic Telegraph Company“ i uzyskać w krótkim czasie przeszło 3,500.000 zł. kapitału potrzebnego do przeprowadzenia dzieła, w pierwszej linii do zamówienia kablu, którego długość obliczono, uwzględniając głębokość wód i falistość dna morskiego, na naszych 500 mil czyli 3.750 km. Firmy Glass et Elliot w Greenvich, Newall w Birkenhead, objęły po połowie wykonanie roboty. Kabel składał się z właściwego 2 mm. grubego przewodu, utworzonego z 7 cienkich żył miedzianych i powleczonego trzema warstwami guttaperchy, łącznej grubości 2 mm. Guttaperchowy drut owinięto następnie w napuszczane smołą konopie, te zas w 18 żelaznych plecionek, każda skręcona z 7 drucików. Cały kabel miał średnicy 36 mm. Odmiennym, silniejszym był kabel nadbrzeżny, narażony bardziej na nadwerężenie wskutek żeglugi, zapuszczania kotwic i wyrzucania martwego balastu.

Przy zakładaniu pierwszego przewodu podmorskiego szkodliwym był naturalnie czynnikiem brak potrzebnego doświadczenia, u wstępu robót popełniono gruby błąd, umieszczając gotowy przewód zamiast w naczyniach napełnionych wodą, na suchem, przez słońce ogrzanem miejscu; guttapercha zaś opierająca się wpływom wody, ulega wpływom powietrza i ciepła. Przy naprawie uszkodzonych części powłoki pokazały się też pewne usterki w przewodzie. Pomimo tego naładowano z końcem czerwca 1857 obie po 1.875 długie połowy kablu na statki, z których dostarczyła Anglia „Agamemnona“ „Leoparda“ „Cyklopsa“, Ameryka „Niagarę“ i „Susquehannę“. Gdy stosy żelaza złożone na pokładach, musiały oddziaływać na igłę kompasu, miał „Cyklops“ specjalne zadanie płynąć naprzód, wskazywać właściwy kierunek drogi. Przy ładowaniu przewodów potępiono znów dość nieoględnie, zaniedbano ułożyć zwoje kablu w regularne warstwy i umieszczono je w dodatku w bezpośredniej bliskosci maszyn, narażono więc powtórnie na wpływy ciepła.

(Ciąg dalszy nastąpi).